

40

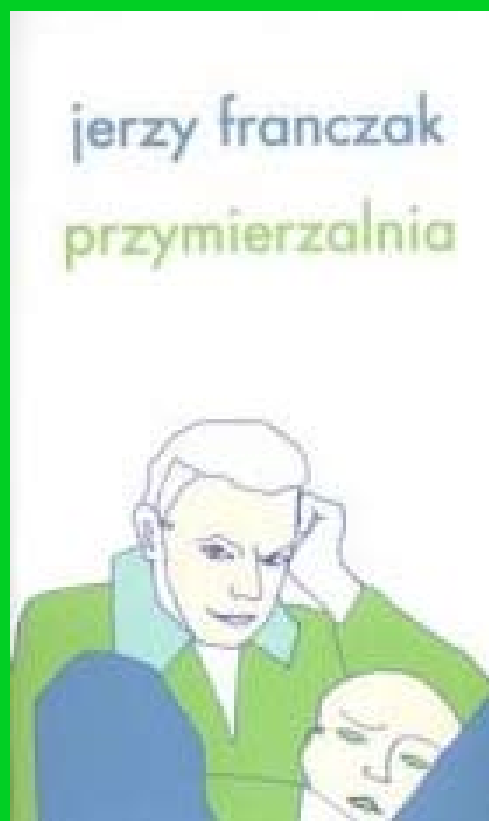
ONLINE

Jarosław Czechowicz

## Przymierzanie siebie samego

Poloniści w cały kraju, od Bałtyku aż po Tatry, grmią w swych klasopracowniach na niesfornych uczniów i wybijają im z głowy rozpoczynanie jakiegokolwiek wypowiedzi od słowa „więc”. A co my tutaj mamy? Polonistę, który świadomie, zaczepnie i ostentacyjnie rozpoczyna swoją wypowiedź od owego znienawidzonego przez jego koleżanki i kolegów po fachu „więc”. Snuje się od tego słowa niezwykła opowieść megalomana i twórcy, w której „ja” odmieniane będzie przez wszystkie przypadki i w której skupianie się autora na sobie samym doprowadzi go niemalże do ataku gigantycznej zapaści spowodowanej zachłyśnięciem się samym sobą. Nie jest to bynajmniej irytujące, bo Franczak subtelnie puszcza oko do czytelnika i zdaje się potwierdzać to, o czym pisał już w „Grawitacjach” – fakt, że ten Franczak, o którym pisze drugi Franczak to dość osobliwa fantasmagoria, to wytwór wyobraźni, ale i konkret, jaki można opisać; to centrum ogniskujące w sobie myśli o świecie, ale także mikrokosmos wrażeń i refleksji dotyczących istoty pisania i kreowania coraz to nowych rzeczywistości, w których łapiemy oddech pisarza i swój własny przystosowujemy do niego. Czyta się bowiem „Przymierzalnię” z zapartym tchem, bo labirynt tropów literackich i odniesień do samego procesu tworzenia wciąga nas coraz bardziej i coraz intensywniej w siebie wikła.

Ci, którzy znają wspomniane już „Grawitacje” odnieść mogą wrażenie, że Franczak się powtarza. Ci, którym nie dane było czytać wspomnianej książki, zirytować się mogą tym, że autor tak rozpaczliwie trzyma się tutaj siebie samego, że poza własne „ego” wyjść nie może i sam jest dla siebie nie lada problemem, który rozwikłać pozwala mu tylko pisanie. Bo czy „Przymierzalnia” to powieść? Trudno w tym ocierającym się o liryzm manifeście, próbującym postawić pomnik trwalszy niż ze spiżu, odnaleźć wyraźne cechy gatunkowe powieści. Nie chodzi jednak przy analizie tej książki o wtłoczenie jej w jakieś konkretne teoretycznoliterackie ramy. Jest to bowiem sugestywny zapis przyglądania się samemu sobie od wewnątrz i na zewnątrz. To historia twórcy, który przymierza siebie wciąż na nowo; który nie wie, w jakiej kreacji literackiej jest mu najbardziej do twarzy i który próbuje o zdanie zapytać czytelnika. To książka, w jakiej słowa wyskakują z siebie nawzajem i książka, w której słowa się ze sobą biją. Jest to bowiem zapis walki pisarza z tym wszystkim, co „niepisarskie”, z całą ograniczoną do leksyki materią, w jakiej trzeba w konkretny sposób wyrazić siebie. Przyjrzyjmy się bliżej tym próbom, popatrzymy na osobisty dramat przeplatany ironicznym uśmiechem i niedopowiedzeniami, które czynią z „Przymierzalnią” opowieść wartką, frapującą i zmuszającą do refleksji na temat tego, co to znaczy tworzyć i co to znaczy wyrażać siebie w tej twórczości.



Jadąc pociągiem do pewnej urokliwej francuskiej miejscowości, Franczak już na samym wstępie buduje swoistą introdukcję, w jakiej zadapytanie o sens własnego człowieczeństwa i sens drogi – tej realnej i tej metafizycznej, jaką rodzi jego pisanie. „I oto staje wam przed oczami tajemniczy gość, który jedzie, patrzy, puszcza kółka i tak dalej, który jeżeli coś mówi, to po to, by coś innego przemilczeć, jeżeli kocha to „na zabój” albo „platonicznie”, jeżeli coś wyraża, to „wylewnie” lub „powściągliwie”, któremu całe życie układa się w zgrabne frazesy i zręczne komunały. [...] Wszędzie taszczyć ze sobą siebie. Wokoło rozciąga się świat mojej własnej jałowości”. Od początku widzimy, że autor próbuje nadać rzeczom i wrażeniom ich właściwy słowny odpowiednik. Że sam dla siebie jest swego rodzaju balastem, z którym musi mierzyć się przez cały czas. Tylko jednak dzięki temu ciężarowi samego siebie jego pisanie nabierze paradoksalnej lekkości. Spróbuje

bowiem za wszelką cenę stanąć gdzieś z boku i ująć w słowa wszystko to, co widzi.

Ta opowieść jest rewią mody. Strojami są słowa i stany emocjonalne. Rekwizytami kolejne oblicza Franczaka, które autor przestawia, zamienia, poprawia. I w tym wszystkim nie jest w stanie wyjść poza nieszczęsne „ja”, które każe mu w tej literackiej przymierzalni wciąż na nowo odkrywać samego siebie. „Mogę tylko mówić o sobie, krygować się, przymierzać mniej lub bardziej niewygodne stroje. Zawierać przymierza z tymi, którzy we mnie wierzą. Sporządzać za każdym razem inny testament”. Czy w ten literacki afirmacyjny testament żyjącego jesteście w stanie uwierzyć? Tu rozpoczyna się myślenie o tym, czy przedstawiana w „Poczekalni” postać jest jednością rozbitą na części pośród ludzi, czy zbiorowością ludzką domagającą się ujednolicenia w zgrabnym schemacie zdań i rozdziałów. Autor nie tylko snuje i kreuje swoje własne historie, ale wtapia się także w historię innych. Żmijewska i przyszyły ojciec jej dziecka Poczwara, intelektualista Bosy, snujący się między prawdą a zmyśleniem Gawel czy cierpiąca na modernolatrię paranormalną Agrafa – wszyscy oni są po części Franczakiem, bo poprzez nich Franczak konstytuuje swoją tożsamość. Tak bowiem jak sam co chwila zmienia własne życiowe role i przybierane wobec czytelnika pozy, tak też figlarnie rozmienna swoje „ja” na drobne, które dźwięczą gdzieś w przestrzeni wtopienia się w kolejne osoby ze swego otoczenia.

Przyznajmy jednak uczciwie, że autor tak do końca narcyzem i egoistą nie jest. Pięknie bowiem i przekonująco pisze o Ilonie – swojej życiowej partnerce i wyrazicielce tego, co nie może być przez niego samego nazwanym. Chociaż Ilona racjonalnie i dość powierzchownie przechodzi przez kolejne dni ich wspólnego życia, jest jednocześnie źródłem niezapomnianych wrażeń i wywołuje we Franczaku taką słodką tkliwość, dla której porzuca na chwilę wiwisekcję własnej duszy. To Ilona spowoduje, że autor przeżyje traumatyczne doświadczenia w pracy redaktora. To ona wyganiać go będzie z łóżka o poranku i odrywać od klawiatury komputera, przy której tak często zasypia. Ona będzie jednocześnie swoistym katalizatorem między treściami ukrytymi a słowami wypowiedzianymi, między którymi Franczak wciąż toczy swój dramatyczny bój.

Wróćmy do niego samego, bo przecież o nim jest ta książka. Próbując określić siebie jako człowieka i jako twórcę, oddaje w rwanej, prowadzonej w drugiej osobie narracji skomplikowane zależności między tym, który żyje i tym, który o tym życiu pisze. „A gdybyś tak to wszystko opisał – gdybyś napisał, jak jest – że w sumie nadajesz się tylko do leżenia na podłodze? Ale ty wolisz wymyślać te swoje dyrdymałki – siadasz nad zeszytem, bo chcesz być sam, a i tak piszesz o sobie w drugiej osobie”. Te wszystkie zabiegi o wyrażenie siebie, ta różnorodność form w „Przymierzalni” i ta przejmująca niemożność zdecydowania się na jeden środek wyrazu dla jednej emocji i jednego wrażenia, jest świadectwem chaosu, jaki we własnej jaźni Franczak próbuje ogarnąć. Jest to bowiem także książka poruszająca problem przestrzeni, w jakiej mogą

mieścić się opisywane zdarzenia, myśli i emocje. Szuka Franczak tej przestrzeni i im trudniej jest mu ją odnaleźć, tym bardziej dramatyczne staje się napięcie między słowem zapisanym, pomyślanym i przeżyтым.

Na koniec czuję w obowiązku przypomnieć autorowi – poloniście, koledze po fachu, że ogłaszając – jak to czyni stale i namiętnie – pewne treści wszem wobec, czynimy to bez spójnika „i” pomiędzy wyrazami. Bo może to nieszczęsne „i” jest tutaj problemem? Może Franczak próbuje zrozumieć I o tym zrozumieniu napisać? Poczucie coś I próbować, żeby poczuł to także czytający? Przerzucać pomost między słowem pisanym a mówionym I jednocześnie palić go na oczach czytelnika? Piszę o spójniku, bo ta książka w zamierzeniu ma coś ze sobą spajając, a tak naprawdę to atomizuje. Jest przekonująca i prawdziwa, ale równocześnie dość hermetyczna i zawiła. Jest lingwistyczną zabawą w oparach absurdu, z której wyłania się jednak egzystencjalny dramat. Jest także opowieścią, której do końca zrozumieć nie sposób. Bazuje bowiem na szeroko pojętym niezrozumieniu.

*Jerzy Franczak,*

*Przymierzalnia,*

*Wyd. korporacja ha!art,*

*Kraków 2008.*

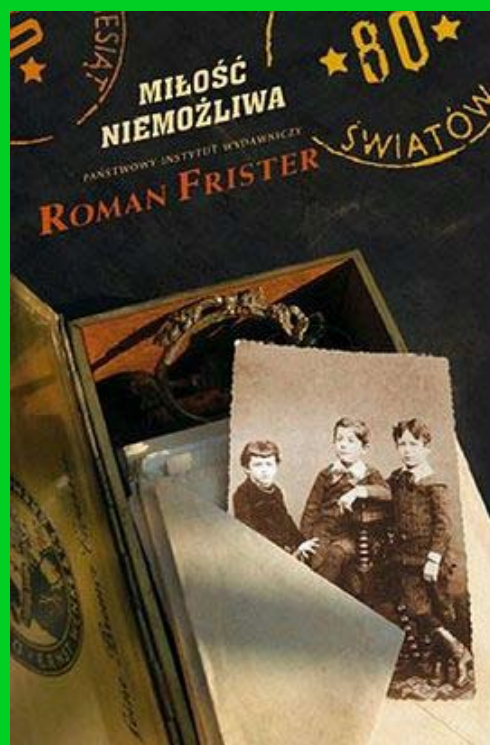
Dominika Kotuła

## Aschera Levy'ego tęsknota do Niemiec

„Klucz do tej niezwykłej opowieści ukryty był w sfatygowanym kufrze podróżnym...” Roman Frister, dziennikarz i pisarz, od lat współpracujący z polską „Polityką”, natknął się na niego podczas spaceru po pchlim targu w Jaffie. Zaintrygowany, postanowił zbadać zawartość skrzyni. Oczom zdziwionego autora „Autoportretu z bliźną” ukazały się sterty urzędowych dokumentów, zdjęć, pocztówek i listów – niekiedy ponad stuletnich. Wszystkie razem, ułożone i posegregowane, stworzyły fascynującą historię kilku pokoleń Levych, jednej z potężnych rodzin niemieckich Żydów. To historia wpleciona w burzliwe dzieje kraju, w którym przyszło im żyć i który zapragnęli pokochać.

„Miłość niemożliwa” jest zbeletryzowaną biografią. Ten swoisty reportaż historyczny zaczyna się w 1872 roku, gdy Ascher Levy płynie statkiem „Ungaria” z Triestu do Egiptu i Palestyny. Bohater, wpatrując się w morskie fale, snuje retrospektywną wizję, utkaną przez Fristera ze zdobytych, fragmentarycznych informacji oraz plastycznych rekonstrukcji. Czytelnik poznaje sylwetkę Jäckela, wędrownego sprzedawcy i założyciela rodu oraz drogę zdobywania przez niego majątku. Śledzi analizowane przez autora przemiany w mentalności pomorskich Żydów, spowodowane pogłębiającą się świadomością narodową i stopniowym powiększaniem majątku. Wplatając w treść książki autentyczne listy Levych, a także wycinki z gazet i oficjalnych pism (niejeden z członków rodziny je kolekcjonował), Frister tworzy prawdziwie panoramiczny obraz. „Miłość niemożliwa” ma w sobie coś z epepei – losy bohaterów przedstawione są na tle przełomowych wydarzeń historycznych oraz przez nie determinowane. Już Ascher, syn Jäckela, wychowuje swoje potomstwo w duchu posłuszeństwa Prusom – w kolejnych pokoleniach więź z krajem coraz bardziej się zacieśnia. Osiedlając się w Bad Polzin, rodzina Levych decyduje się włączyć w życie lokalnej społeczności, wbrew zwyczajom ortodoksyjnych Żydów. Mężcy członkowie rodu zasiadają w radzie miasta i organizują akcje charytatywne – oczywiście w takim stopniu, na jaki pozwala im status „obcych”. Jako przedstawiciele wyznania mojszeszowego, nigdy nie zostaną w pełni zaakceptowani, wraz z upływem czasu zaś ich sytuacja staje się coraz trudniejsza.

„Zawsze pamiętaj, że jesteś dumnym obywatelem Prus, któremu przysługują równe prawa. I nigdy nie zapominaj, że jesteś Żydem. Jeśli to uczynisz, zawsze znajdą się tacy, którzy przypomną ci o twoim pochodzeniu” – słowa Aschera Levy'ego, skierowane do syna Bernharda, stały się mottem książki. Doskonale



odzwierciedlają złożoność położenia niemieckich Żydów, którzy pragnęli syntezy miłości do Prus z mądrością Tory i Talmudu. Rodzina Levych przeżyła burzliwe narodziny syjonizmu. Dzięki rozpiętości czasowej fabuły czytelnik, śledząc losy bohaterów, ma szansę poznać dzieje żydowskich prób asymilacji, rozwoju antysemityzmu i poczynań Herzla, uważanego zresztą przez Aschera i jego potomstwo za niebezpiecznego szaleńca. Jak stwierdził sam inicjator ruchu syjonistycznego w książce „Państwo Izrael”: „Gdyby nas, Żydów, inaczej traktowali w Europie, to z pewnością zasymilowalibyśmy się całkowicie i nie wiedzielibyśmy nic o naszych korzeniach”. Levy należeli do propagatorów asymilacji. Julius Levy zapoczątkował tradycję służenia w pruskim wojsku. Członkowie rodziny ofiarne włączali się do walki, przemierzając szlaki bojowe wraz z żołnierzami armii pruskiej. Płacili podatki i identyfikowali się z Prusami. Judaizm pozostawał dla nich ojczyzną duchową i, o ile dla Aschera i Bernharda stanowił niezaprzeczalną wartość, o

tyłe dla kolejnych pokoleń coraz mniejszą. Żydowska tradycja nie zostaje całkowicie porzucona nigdy, jednak jej elementy – takie jak koszerność – owszem.

Opowieść o rodzinie Levych staje się kroniką rozpadu religijności. Dla utalentowanego artysty Rudolfa paleta kolorów więcej jest warta od modlitwy. Członek paryskiej bohemy i uczeń samego Matisse'a nie płacze po zburzonej Świątyni, „ponieważ nie liczyło się to, że zbudowano ją z libańskich cedrów, ale że przetrwały opowieści, zrodzone z potęgi wyobraźni”. Jego pokolenie, czyli pokolenie Levych, które zderzyło się z tragizmem drugiej wojny światowej, nosiło wyraźne cechy dekadentyzmu. Rudolf, Ida czy Lisbeth to reprezentanci wielowiekowej formacji intelektualnej oraz wielopokoleniowego dobrobytu. Ich konfrontacja z nazizmem odsłania i eksponuje brutalność i prymitywizm nowej ideologii.

Zmuszeni do ucieczki z Europy, potomkowie Aschera udają się do tak potępianej przez nestora rodu Ziemi Obiecanej – Izraela. Tutaj zaś historia się urywa, kończą dokumenty, zdjęcia i listy. Spakowane do kufra, czekają na nowego właściciela w zakurzonej załku Jaffy.

„Miłość niemożliwa” to zdecydowanie więcej niż historyczny reportaż czy biografia. To książka, która poprzez przedstawienie jednostkowych losów członków rodziny Levych parabolicznie ujmuje ponad stuletnie dzieje europejskich Żydów, pragnących bezpiecznego życia i poczucia zadowolenia. To wyraz metafizycznych refleksji autora, nienatrętnie przypominającego o przemijalności ludzkiej potęgi (kilka razy pojawia się na kartach książki imię Koheleta) i nietrwałości szczęścia. To obiektywna relacja, perfekcyjna jako świadectwo dane czasom i źródło wiedzy o codziennym życiu bohaterów. Kwitki od tapicerów, rachunki za mleko – każdy drobiazg znalazł swoje miejsce w opowieści Romana Fristera. To wreszcie urok poznawania zakamarków strychu starego domu, dyskretny czar dziewiętnastowiecznych koronek...

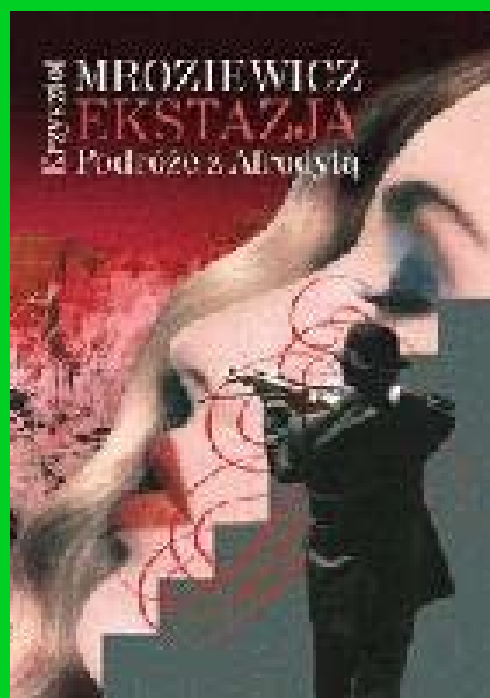
*Roman Frister,  
Miłość niemożliwa,  
przeł. Anna Klingofer,  
Wyd. PIW,  
Warszawa 2007.*

Anna Rau

# Powiadam ci, będziesz dziś z Afrodytą

„Męka nas spala na dym, chodź... Mówisz, że jestem tak piękna, iż żaden papier nie zniósłby opisu tego, jak wyglądam... Twoje dawne romanse nigdy nie miały nic wspólnego z miłością. A mnie dawno temu poznałeś jako muślinowy cień przed lustrem. Potem całą noc piłeś whisky z mlekiem pół na pół. Ale co dziś będziemy robić przez całą noc? Chodź tutaj i lekko przechyl mnie do tyłu. Obejmij mnie i strąćmy na chwilę przytomność. Kiedy wreszcie rozwiążesz tę tasiemkę na moim ramieniu? Oczywiście – wiesz, że najbardziej cenię, jak to potrafisz zbliżać się do granicy, zbliżać się, ale nigdy jej nie przekraczać, jakbyś chciał coś zostawić na później. Ale dziś... Wejdz, skoro tak bardzo chcesz. Patrz, błysk przebiegł przez moje ciało! Mam wygniecioną sukienkę. Przez ciebie zdejmowałam ją w pośpiechu. Mrok kryje rumieńce. Lot trwa i trwa”. Tak pisze Krzysztof Mroziowicz. Dziennikarz, korespondent wojenny, komentator telewizyjny i radiowy, wykładowca, specjalista w zakresie polityki międzynarodowej oraz laureat wielu nagród, odznaczeń i tytułów honorowych. Znane i ugruntowane (pełnym uznania lub niechętnym tonem) nazwisko polskiej publicystyki. Któż by się spodziewał, że – jak to sam powiada we wstępie „Ekstazji” – podczas jednej ze swoich podróży zawodowych natknie się – na wyjątkowo dla Polaka łaskawą – odwieczną boginię miłości Afrodytę. Odtąd też zaczyna mu towarzyszyć we wszystkich podróżach i spotkaniach życia. Właściwie niemal go prześladować, gdyż zazwyczaj zasłania twarz maską i dopiero wytrawne oko bywałego podróżnika poznaje błysk jej nieśmiertelnej piękności w ciemnych oczach Cypryjki, w połysku białej skóry uda Szwedki, w półotwartych ustach Kubanki, w słodkiej uległości Filipinki, w...

Spotkania z nieskończoną ilością inkarnacji Bogini z Pafos Mroziowicz zawarł w książce-chimerze pt. „Ekstazja. Podróże z Afrodytą”. Określenie „chimera” bynajmniej nie jest w tym wypadku inwektywą: po prostu „Ekstazja” nie mieści się w schemacie gatunków literackich, tomik zawiera bowiem zarówno opowiadania erotyzujące, jak i szkice, eseistykę oraz niewątpliwą, ściśłą publicystykę antropologiczno-podróżniczą. Tak więc czytelnik dzięki Mroziowiczowi poznaje, na przykład, Hinduskę „o pięknych oczach kobry”. Ból niespełnienia bogatej, osamotnionej żony potentata. Otwarcie blokady ciała torturowanej niegdyś opozycjonistki. Niewinność śmiałych póz pewnej malarki. Nieśmiertelność uczuć ducha (tak! Istoty już niematerialnej! I nie jest to śmieszne). Modlitwę młodych Murzynek na Antylach. Wierność wyzwolonych seksualnie Skandynawów. Wściekłość nietkniętej sekretarki. Wśród tych dotkliwych, czyli tak poruszających, historii pojawiają się



również takie, których bohaterami są postacie o nazwiskach znanych całemu światu: J. Ch. Andersen, Marilyn Monroe oraz Brigitte Bardot. Każde z nich miało swoją miłosną tajemnicę, w tym – duński pisarz chyba najbardziej zaskakującą...

Wszystkie te opowiadania nazwałam „erotyzującymi”, gdyż nie są ściśle erotyczne – dzięki Bogu!, i to obecnie, w czasach wszechobecności epatowania w literaturze dosłowną i pieprzną opisowością! „Ekstazja” budzi skojarzenia z arabską poezją miłosną, z poematami Lorki, z włoską muzyką barokową, z tzw. kobiecym jazzem, klimatycznie zaciemnionym wnętrzem oraz stojącym od oczekiwania powietrzem tuż przed spotkaniem z...

W części antropologicznej swojej książki Mroziowicz przybliży czytelnikom niezwykle interesujące, zabawne, a dla niektórych zapewne – kształcające – kwestie z zakresu globalnej i bardzo szeroko rozumianej seksuologii. Owa część zatytułowana jest „Podróże książkowe”. Jako wstęp przedkłada czytelnikom dwa życiorysy – Casanovy i J. F. Kennedy’ego (swoją

drogą – ciekawe zestawienie. Czyżby byli sobie bliżsi bardziej niżby zapewne chcieli?) Casanova okazuje się bardziej niewinny od wielu współczesnych stojących na światowym świeczniku sławy, a Kennedy daje do myślenia swoim uzależnieniem od seksu przy jednoczesnym kompletnym braku zaangażowania uczuciowego. „Ekstazja podróżnicza” zawiera też szkice stricte popularnonaukowe, czyli, na przykład, rozdział na temat erotyzmu w rzadko spotykanym ujęciu językoznawczym – angielskie-amerykańskie słownictwo seksuologiczne. Pewien rozdział przybliży z kolei wielowiekową chińską mądrość zgromadzoną w ośmiu podręcznikach sztuki miłości, inny – indyjską prostytutkę sakralną (bardziej „sakralną” niż „prostytucję”), japońską „Sztukę walki w łóżku”, afrykańsko-egipskie związki w wielowiekowej historii miłości, gościnność seksualną Eskimosów i doprawdy dziwne z punktu widzenia Europejczyka obyczaje seksualne Indian Ameryki Południowej. Wyżej wymienione kwestie Mroziewicz podsumował świetnym szkicem o globalizacji i prawidłowościach rządzących mechanizmami erotyzmu na różnych kontynentach.

Grzechem byłoby przemilczenie niezwykle istotnej strony graficznej „Ekstazji”. Warstwę werbalną tomiku wspierają bowiem wyraziste i (jak by to wyrazić?...) odważne kolaże autorstwa Rosława Szaybo, wybitnego polskiego plakacisty. Ilustracje te zarówno żyją swoim odrębnym życiem, jak i lojalnie wspierają tekst Mroziewicza. Wielka klasa.

„Ekstazja” to książka dyskretna i pełna elegancji. Na pograniczu nauki i literatury, wiedzy i odczuwania. Zmysłowa po prostu.

*Krzysztof Mroziewicz,  
Ekstazja: podróże z Afrodytą,  
Oficyna Wydawnicza Branta,  
Bydgoszcz-Warszawa 2007.*

Urszula Pawlicka

## Who done it?

Małe, hermetyczne miasteczko Long Piddleton – grupka mieszkańców, bardzo różnorodna w charakterze – znalezienie zwłok przez barmankę w pubie „Pod Huncwotem” – przybycie na miejsce przestępstwa inspektora Jury’ego – rozpoczęcie śledztwa – zbieranie dowodów – rozwiązanie zagadki. Czy coś pominęłam? Raczej nie. Tego linearnego schematu powieści kryminalnych nie sposób jest nie zauważyć. Martha Grimes ze swoim debiutem „Pod Huncwotem” wstąpiła w grono autorów kryminałów, którzy bazują na sprawdzonych kliszach. Grimes starała się „wyłamać” fabułę ze schematu. Jednak jedynym „oryginalnym” motywem jest nie jedno dokonane przestępstwo, ale cztery. Zdawałoby się, że pomysł udany: napięcie narasta, sprawa się kumuluje, ciekawość czytelnika sięga apogeum, a każdy przybywający mord utwierdza go w przekonaniu, że praca detektywa to jego powołanie. Niestety, na zamyśle się skończyło. Czynnym czytelnikiem może być tylko ten, kto dobrze zna wymowę słów w języku angielskim. Najlepiej, żeby umiał dostrzegać w niej błędy. Domyśleć się, że zdanie: „Po wtorku pościć” jest fonetyczną nazwą angielskiego baru „Pod Workiem Gwoździ”, albo analogicznie: „W morze wlaży żartem” - „Pod Żelaznym Czartem”. Niestety, natura nie obdarzyła mnie taką genialną spostrzegawczością, więc pozostało mi nic innego jak bierne śledzenie przebiegu sprawy.

Miasteczko Long Piddleton przypomina Wyspę Agathy Christi („I nie było już nikogo”), w którym dokonywane są kolejne mordy, a podejrzanymi są niemal wszyscy mieszkańcy. Morderstwa w pubach ożywiają melancholijne miasteczko. Na pozór znający się mieszkańcy, nagle stają się dla siebie obcy. Następujące po sobie przestępstwa jak kurtyna odsłaniają ich przeszłość. Każdy na nowo staje „oko w oko” z własną historią, o której wolałyby zapomnieć. Spokojne miejsce okazuje się zlepkiem ludzi o mrocznej przeszłości. Morderstwa odkrywają ich prawdziwe oblicza, powodując, że każdy z bohaterów mógłby być potencjalnym przestępcą. Śledztwo traktują jak zabawę, która ma ożywić ich monotonne życie. Toczą ze sobą grę o to, kto pierwszy odkryje mordercę. Fakt zabójstwa zapewne przeraża ich, ale świadomość niekonwencjonalnych przeżyć i pobudzenie za sprawą wzrostu poziomu adrenaliny są silniejsze od strachu. Na jaw wychodzą romanse, zdrady, dawne przekręty, a wszystko grubymi nićmi szyte. Od plotek, aż huczy. Dla mieszkańców morderstwa są perfidną szansą na pozbycie się tych, których, łagodnie mówiąc, nie akceptują. Żadną trudnością jest przerysowanie dawnych występków, obalenie alibi i oskarżenie winnych popełnionych zbrodni. Niestety inspektorowi Jury’emu płytkie oskarżenia nie wystarczają. Potrzebne są motywy, których, zdaje się, brakuje mieszkańcom. Taką dużą



humorystyczne. Mamy do czynienia z komizmem postaci. Lady Ardry jest typową kobietą „plotkarą” „Upierdliwa” i często zbyt nachalna, szuka wszędzie sensacji. Obronę miasteczka traktuje jak misję, przyjmuje więc rolę detektywa. Dialogi z jej udziałem mają zapewne rozbawić czytelnika. Śmiech wywołuje nie tylko postać, ale także pewne wydarzenia. Pokonanie przeciwnika cukierkami wystrzelonymi z procy przypomina „ambitny” amerykański film sensacyjny, w którym to główny bohater zawsze wychodzi cało z opresji, mimo że w jego kierunku wystrzelono cały magazynek.

Początek książki zaskoczył mnie dużą ilością szczegółowych opisów. Dowiedziałam się nawet jak pies może szczekać: „warknął gardłowo”. Przyznam się, że zaintrygowało mnie to określenie. Autorka wplotła w kryminał literackie opisy, które wydawały mi się przesadne i niepotrzebne. Jak uzasadniana jest ich obecność? W usta jednego z bohaterów wkłada słowa: „Gdybyśmy ignorowali życie prywatne, nigdy byśmy nie złapali żadnego przestępcy”. Stąd

psychologiczne zarysy postaci. Narrator pełni funkcję świadka wydarzeń. Opisy przypominają sporządzony protokół, w którym każdy szczegół ma istotne znaczenie. Jest również detektywem, ponieważ towarzyszy i pomaga bohaterom w rozwiązywaniu zawiłej zagadki. Śledztwo w efekcie staje się niczym „terapia oczyszczająca” miasteczka. Czarne charaktery wyjeżdżają z Long Piddleton. Jest to też „terapia indywidualna”. Bohaterowie zostają rozliczeni z przeszłości. Inspektor Jury jak głos sumienia, wpływa na ich dalsze losy.

Happy end książki przypomina niejedną bajkę, w której dobro zwycięża, a zło zostaje pokonane. Życie mieszkańców, choć uległo zawirowaniu, to szybko powróciło do codziennego rytmu. Nie zapomną jednak dręczącego pytania: Who done it? Szkoda, że sama nie dokonałam tego odkrycia...

*Martha Grimes,  
Pod Huncwotem,  
przeł. Agnieszka Andrzejewska,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2008.*

Katarzyna Grabska

## Wrocławski miszmasz

Kolejny raz czytam „pracę zbiorową”. Nie lubię antologii, zbierania wierszy o kwiatach, jeziorach, Śląsku, dla żony, męża, sąsiadki... Nie przemawia do mnie poezja lub proza regionalna, ani mówienie o twórczości w kategoriach miejsca powstania. W czasach globalnej wioski, świata innego każdego dnia, bez jednego głównego trendu i zbytniego przywiązania do „regionu”, skończył się lokalny patriotyzm. „Ziemie uzyskane” utwierdziły mnie w przekonaniu, że zdania nie zmienię.

Faktem jednak jest, że antologie pełnią określoną rolę – prezentacyjną, edukacyjną, zaświadczałą o pewnym etapie twórczości. Zwłaszcza, gdy jest mowa o almanachu młodych twórców konkretnego regionu, w tym przypadku Wrocławia i okolic. Tamtejsze środowisko odczuło potrzebę pełniejszej autoprezentacji, a po uzyskaniu możliwości ruszył ciekawy projekt, organizacyjnie i literacko rzekomo nowy i odmienny. „Dziełko” pod zgrabnym, sugerującym zresztą wydzwięk całości, tytułem „Ziemie uzyskane” zawiera w sobie prawie wszystko, co choćby pobieżnie kojarzy się z zaplanowanym przekazem i związane jest z miejscem. W efekcie stykamy się z twórczo-odtwórczym miszmaszem. Poezja, proza, roczniki 70 do 90. Wszystko, przyznaję, ładnie opisane, a pogubić się nietrudno, gdy mamy tyle urozmaiceń.

Wolność i prawdziwość, powiązana z Wrocławiem swoboda myśli, zwyczajnie rozczarowują. Każde miasto ma swoją duszę. Inaczej oddycha się w Gdańsku, a inaczej na olsztyńskiej starówce. Próbowалам poznać miasto nad Odrą poprzez utwory młodych lub trochę „mniej młodych”, twórców, co wydaje się sensowne, bo jest to przecież „szczerą i bezpretensjonalną autoprezentacją”. Poczułam ciężkie powietrze, zamglone postaci poetów sprzed kilku lat, jakby „bruLion” reaktywacja-modyfikacja (?), zapożyczone konwencje i... coś zaskakującego. Nagła świeżość kilku naprawdę dobrych tekstów albo chociaż fragmentów. Taka wiosenka w środku jesiennej chlapy, bo spośród wielu wrocławskich twórców warto wyłowić kilka nazwisk. Wrażliwych i dobrych technicznie, takich, których można usłyszeć nawet, gdy szepczą.

Przemawia do mnie osobowość Julii Szychowiak. Krótka. Poezja zamiast pisaniny. Bez zbędnych haseł i długich opisów. Silnie metaforycznie, ale z sensem. Jest po dobrym debiucie książkowym, a umieszczenie jej tekstów w antologii bardzo wzbogaciło zbiór.

Kornelia Piela pisze o sprawach wielokrotnie poruszanych w niskobudżetowych, ckliwych produkcjach. Miłość, samotność, płacz... często tracą na charakterze przez zbyt płytki opis. Ale jej teksty wcale nie są naiwne. Za pomocą zgrabnych skojarzeń i niebanalnych pomysłów powstają

przyjemne, niewymuszone obrazki. Dzięki hasłom typu: „Teraz, na sam koniec, pragnę, żebyś wiedział, że cię wciąż nie Kocham i się nie poddaję”, wiem, że wymyślone przez nią historie są szczerze. Łatwo je czytać jako opowiadki o królownie, „grzesznym kopciuszku”... Ot tyle, po prostu łatwe i niekłopotliwe w odbiorze. Mądre i trafne dodam na koniec.

Zastanowił mnie utwór o lisach autorstwa Konrada Góry. Sceptycznie przeczytałam drugi raz. I w krótkim, przemyślanym tekście, znalazłam coś, co mnie oczarowało. W zwięzłej formie, przy pomocy kilku prostych, ale bardzo sugestywnych haseł mówi o czymś ważnym. Szacunek za niewymuszoną (przynajmniej pozornie) dbałość o detale: „Most legł na dnie, byłym dnie”. Przykład połączenia treści z dobrą formą.

Dobra okazała się Krystyna Myszkiewicz. Momentami Kamil Zajac i Maciek Taranek.

Intryguje Amadeusz, który z założenia miał być „młodym Romem”. Nawiasem mówiąc zdolnym i konkretnym. Pomysłowe zakończenie w części poezji. Postać trochę oderwana od całego projektu, specyficznie związane z miastem. Wolna, nieograniczona, niefigurująca w antologii dla zaistnienia, utwierdzenia pozycji... czegokolwiek.

Wiele wierszy miało piękne zdania, kilka było twórczą próbą zaprezentowania własnej, nieprzeciętnej wrażliwości i niezłego wycucia językowego - także tym samozwańczym zdarzały się „momenty” godne chwilowej choćby refleksji.

Chcę jeszcze zwrócić uwagę na kilka fragmentów prozy. Tekst o rewolucji Marcina Urbana, „Brzydkie

dzieci” Zuzanny Majer. Przyjemne, dobre teksty. Obrazki ironicznie ukazujące pewne zjawiska, o których rzadko mówi się w podobny, lekki i jednocześnie śmieszno-gorzki sposób. Mogłabym poczytać w pociągu albo do poduszki Radka Wiśniewskiego, Konstantego Stankiewicza. Wrażliwie i niebanalnie o miłości, przynajmniej tak to odczytałam z kilku stron opowiadań.

Przełądam utwory jeszcze raz, szukam wspólnego mianownika, łącznika i śladów jakichkolwiek wrocławskich tendencji. Droga swobodnych skojarzeń dochodzę do zauważenia niespodziewanej mnogości nadużycia motywów przyrodniczo-zoologiczno-anatomicznych. Niektóre motywy z serii „bio” nieprzypadkowo umieściłam powyżej. Warto wymienić, dla przykładu, bo nie widzę innych powodów, choćby małe zoo bobrów, „mięso ze skóry wrywane” - trochę powrotu do naturalizmu, krajoznawcze wycieczki Marty K., „radosną twórczość” Mateusza Kuleszy podgrzewaną seksualnym smaczkiem, a także wierszyk o płonącym lesie, który na długo zapamiętam. Niestety, blaski i cienie dobrej pamięci długotrwałej...

Dużo jest remiksowania. Przykładowo łączenie tekstów reklam- jak u Joanny Wzorek- szczęśliwie nie ograniczyło się do powtórzeń modnych, znanych linijek. Zamiast twórczości przypominającej gimnazjalne zabawy sprzed paru lat, mamy coś innego, trochę poetyckiego i zastanawiającego. Prostym słowom, frazom, nadaje nowy sens. Skądś to znam, ale się nie czepiam.

Standardowo motyw dzieła i twórcy. Dobrze skrojone utwory Kołodziejczyk i Zająca (ten trochę ciężki, ale nie ciśnię).

I wreszcie znalazłam. Po cierpliwym czytaniu, kartkowaniu... mam. „Wszystkie rzeki to Odry” według Eli Kołodziejczyk. Mirosław Marcol wkładał sny o „wyścigach łodzi podwodnych pod powierzchnią Odry, w samym środku Wrocławia”. Tak, rzeka łączy miasto...

Niepokoi mnie fala krzyku, agresji, potrzeby koniecznego zwracania na siebie uwagi wśród różnej maści twórców. Powtórzę zasłyszane i może trochę zapomniane, zwłaszcza w świecie polskiego „szolbiznesu”, słowa: „Nie sztuka powiedzieć *Jestem*. Trzeba jeszcze być”.

Jeżeli antologia sprawi, że ktoś zaczyta się i przegapi swoją docelową stację PKP, warto było włożyć w nią tyle energii. Jeżeli spis wskazówek i panorama dotycząca poetów (tym właśnie są dla mnie antologie) pomogą komuś w odnalezieniu czegoś wartościowego, potocznie mówiąc - super. Mnie antologia pomogła w uświadomieniu sobie, że nieważne w prawdziwej poezji są pokolenia i różnice w zainteresowaniach. Ot, w podobnym stopniu nie dociera do mnie poezja Justyny Paluch: rocznik 75, tematyka polityczno-różna, jak i Mateusza Kuleszy, który pisze w stylu młodych buntowników, zafascynowanych wszystkim, co tylko może być dziwne, inne i choć trochę szokować.

*Ziemie uzyskane. Almanach  
Wrocławskiego Forum Młodych  
Twórców,  
zespół redakcyjny:  
uczestnicy WFMT moderowani przez  
Jacka Ingłota,  
Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich,  
Wrocław 2007.*

# Locked-in syndrome – na granicach ciała. O filmie „Skafander i motyl” (2007) Juliana Schnabla



„Na granicy między czystym wnętrzem autoportretu i czystym zewnętrzem niby-mojego symulakrum, między mną a światem, między Ja a tekstem: ciało. Bez żadnej podpórki, znak nagiej, bezbronnej pojedynczości. Moja sygnatura i moje utrapienie, nadzieja zbawienie wśród innych i okrutne hasło upadku w obcość. Ciało: siedlisko aporii. Corpus delicti, corpus delecti: dowód występku a jednocześnie to wszystko (corpus), co jest ode mnie oddalone i odłączone, co najbardziej mi obce i co potajemnie szykuje już na mnie odwet. W obu wypadkach corpus: ciało, dla którego występki czytania jest przyjemnością (delicium) i ciało, które przeklina lekturę słowami zboląłego kręgosłupa i piekących oczu. Ciało, któremu mogę przyrzec chwilę zapomnienia i ciało, które nie może o mnie zapomnieć.”

Michał Paweł Markowski,  
Występek. Eseje o pisaniu i czytaniu.

Pierwsze obrazy filmu są niewyraźne, rozmazane. Światło rozbłyśka nagłymi eksplozjami, by po chwili mętnieć i gasnąć. Nieostre kontury postaci falują niezdecydowane jeszcze przyjąć konkretną formę. Pole widzenia nie jest ograniczone bezwzględny prostokątem kadru, ale zmienną, ruchliwą powieką oka. Jean-Dominique Bauby budzi się ze śpiączki po wylewie, my, widzowie, rozpoczynamy seans. Pozostałe Jean-Do zmysły po ataku to wzrok (ograniczony do jednego oka) i słuch. W ciemności sali kinowej, unieruchomieni w fotelu, percypujemy świat w podobnie ograniczony

sposób.

„Skafander i motyl” poza tym, że jest przejmującą historią sparaliżowanego redaktora Elle, jest też niezwykle płodną metaforą odbioru sztuki filmowej przez widza kinowego. Wielokrotnie wykorzystywana przenośnia mówiąca o odbiorcy filmu jako uwięzionym w kinie, w tym kontekście nabiera nowych znaczeń. Zwykle mówi się o widzu, że jest „maszynką percepcyjną” zdeterminowaną do biernego przyjmowania sensów zawartych w spływających na niego obrazach filmowych. Tak pomyślany widz nie jest już jednostką, indywidualnością, jest zbiorową świadomością, która przenika na salę z ekranu.

„Locked-in body/ciemna” – kino staje się w tym ujęciu metaforą ciała, wielkim skafandrem. Ale film Schnabla pokazuje, że zamknięty w ciele (kinie) nie jest ani bierny ani pozbawiony indywidualności. Le Scaphandre et le papillon jest bowiem zapisem twórczości, która wciąż jest możliwa nawet, gdy ciało zmieni się w skafander. Film, oparty na książce Jeana-Dominique’a Bauby’ego, mówi też o tym, że nie możemy zostać sprowadzeni do biernych odbiorców, że zawsze reagujemy, odpowiadamy, nawet, gdy nikt nas nie słyszy. Do opisanego widza kinowego zamiast figury uwięzienia użyłabym figury chwilowego syndromu zamknięcia, a zamiast „maszynki percepcyjnej” – motyla, który jest owym wewnętrznym ruchem, trzepotaniem, ciągłą odezwą.

Odbiorca filmu w ciemnej sali kina nie ma bezpośredniego wpływu na świat, który toczy się przed jego oczami. Może co najwyżej wycofać się z oglądanej rzeczywistości – wyjść. Jego wewnętrzne

reakcje (zaskoczenia, sprzeciwu, rozbawienia i wiele innych) pozostaną jednak zignorowane przez ekran. Przez widza przetacza się fala emocji, myśli (często już pod postacią słów, zdań), które są w nim światem równoległym do tego, który odbiera w kinie wzrokiem i słuchem. Sytuacja bohatera filmu Juliana Schnabla jest analogiczna – świat nagle stał się niedostępny, odporny na jego wpływ. Uczestniczy w nim, ale uczestnictwo to sprowadzone zostało do odbioru obrazów i dźwięków, na które może reagować jedynie wewnętrznym monologiem, który zmienia się czasem w wewnętrzny krzyk. Lecz przecież zarówno książka jak i film „Skafander i motyl” opowiadają o wartości i sile tej wewnętrznej mowy, płynącej równoległe do świata, z którego zostało się wykluczonym.

Jeżeli widz kinowy w stereotypowym ujęciu należy do myślenia zbiorowego i pozbawiony jest indywidualności, to musiałby zapomnieć o swojej cielesności. Jak pisze Markowski za Barthesem ciało jest bowiem „synonimem naszej jednostkowości, tego, co osobliwe, niepowtarzalne, choć zanurzone w tym, co zbiorowe, zakodowane przez kulturę”. Ciało to bicie serca, które wydawało się Jean-Do trzepotaniem motyla. Motyl jest zatrzaśnięty w skafandrze, ale jednocześnie są sobą nawzajem, nie są opozycjami, determinują się wzajemnie. W czołówce filmu wykorzystano zdjęcia rentgenowskie, które mówią o tym, że wszyscy jesteśmy zamknięci w naszych ciałach, że jesteśmy w pewien sposób przedmiotami, że możemy zostać do nich sprowadzeni. Ale jednocześnie te stare zdjęcia wyglądają jak obrazy - to ciało pozwala nam na twórczość i na odbiór twórczości innych.

W esejach zawartych w książce „Występek” Michał Paweł Markowski pisze o ciele, które zostaje na ogół zapomniane w namysłach nad działalnością twórczą i jej odbiorem. Tymczasem to oczy czytają, to ręce piszą, to ciało, które podlega olbrzymiej ilości pragnień, niepokojów, słabości jest granicą świata, na której żyjemy, a więc i tworzymy. Syndrom „locked-in” z jednej strony skreśla ciało, które w pewnym sensie jest tym, do czego jest zdolne. Z drugiej strony podkreśla je, wyolbrzymia – ciało nie będące już odtąd niemal żadną z funkcji, w których przywykliśmy je postrzegać, nie będące narzędziem (do jedzenia, seksu, mówienia) jest już tylko samym sobą i będąc t y l k o c i a ł e m niemal wygrywa z motylem, o którym pisze Jean-Dominique Bauby. „Ciało jest więc granicą świata i to właśnie na tej granicy przychodzi nam żyć” (Maurice Merleau-Ponty). Gdy ta granica się zatrząskuje, gdy niemożliwe staje się wychylenie poza nią, ciało okazuje się hermetyczne niczym skafander. Wynajdywanie szczelin, pęknięć jest konieczne, na granicy trzeba balansować. Rysami w zamknięciu Jeana-Do są wzrok i słuch (a także wyobraźnia i wspomnienia). Pragnienie komunikacji, kreacji, występku poza granicę ciała okazuje się silniejsze od szczelności skafandra. Bauby lewą powieką oka podyktował książkę, która jest zapisem walki przeciwko zatrzaśnięciu, mrugnięciami oka opowiedział swoją wewnętrzną mowę, która, stając się dziełem sztuki, ma siłę zmiany świata zewnętrznego.

To wychylenie się poza granicę skafandra jest Derridiańskim doświadczeniem, „którego źródło mówi coś o przekraczaniu; przekraczanie

to wiąże się z ciałem, z przestrzenią, która nie jest dana zawczasu, lecz która otwiera się w trakcie postępowania”. Zatrzaśnięci w ciele, pozbawieni głosu chorzy na „locked-in syndrome” sprawiają na świecie zewnętrznym wrażenie „warzyw”. To określenie najbardziej boli Jean-Do, wzbudza w nim największy sprzeciw. Walczy o przestrzeń pozornie mu niedostępną, walczy o wpływ na świat zewnętrzny, o kontakt. Bauby kilkakrotnie powtarza, że „syndrom zamknięcia” pozwolił mu zobaczyć pewne rzeczy na nowo, że uwolnił jego wyobraźnię, że pozwolił mu postrzegać innych głębiej. Można powiedzieć, że ciało, zjawione nagle z całą siłą, z całą wagą, nie przysłonięte swoją funkcjonalnością, kazało mu się skoncentrować na komunikacji, bowiem stała się ona tak trudna, tak bezcenna, że skupienie stało się koniecznością. Determinacja z jaką dąży do kontaktu zrodzona jest z radykalnej niezgody na bycie „warzywem”.

Subiektywizm narracyjny „Skafandra i motyla” zbudowany został impresyjną estetyką zdjęć (autorstwa Janusza Kamińskiego), monologiem wewnętrznym głównego bohatera, który słyszymy z offu, równoważnością snów, marzeń, wspomnień Jean-Do z tym, co „rzeczywiste”. Tak pokazana historia wymaga zaangażowania emocjonalnego widza. Ale jednocześnie pozwala na przeprowadzenie analogii między syndromem zamknięcia a sytuacją widza kinowego. Wrazeniowa estetyka podkreśla też cielesność, której nie sposób się pozbyć, cielesność, która wiąże, ale która jest też trzepotaniem motyla, która jest granicą wciąż domagającą się przekraczania.



fot. Jarosław Cyganowski

Marcin Włodarski

## Świnia

Mało miejsca wszędzie. Na stole mieści się tylko kubek i bułka. Białe ściany. Zamykam oczy, by ugryźć bułkę i nie zwymiotować. Białe ściany mdlą. Siedzę na łóżku, pod stopami czuję piach i drobne kamienie przyniesione butami. Przez otwarte okno dopada mnie szczekanie psa. Boję się psów. Widziałem psa, który wbił się zębami w szyję dziecka. To makabryczne. Nie będę ciągnął tematu. Pomyślałem wtedy tak, jak dziś, przymykając oczy, by ugryźć bułkę, pomyślałem żeby się poddać. Nikomu jednak nie jest potrzebne moje poddanie się. Niedokończona bułka oblepiona włosami kobiety, która była tu w nocy, wyglądała tak, jakbym to ja ją ulepił od początku do końca. Stałem przy ścianie twarzą do okna. Spojrzałem w dół na stopy, kolana, penisa, brzuch. To wszystko jest takie banalne. Jak można było stworzyć coś takiego a potem dać temu mózg. Może gdybym był śmiertelnie chory doceniłbym to, co mam, czym się posługuję, żeby zrobić zakupy, oszukać pracodawcę, żonę, dziecko, rodziców, siostrę i innych bohaterów mojego serialu, który ciągnie się już bardzo długo. Może gdyby moja żona umarła albo dziecko straciło nóżkę, może zobaczyłbym Boga, usłyszał go w ostatnim jęku żony, wrzasku dziecka.

Stałem przy ścianie i chłodziłem plecy. Proszę oddychać głęboko. Oddychaj głęboko i niczego się nie bój. Dobrze wiesz, że to długo nie potrwa, tatuś zaraz przestanie, będziesz szczęśliwy, tatuś da ci prezent. Położyłem się na łóżku i chciałem zasnąć. Trudno mi jednak zasnąć zaraz po przebudzeniu. Na koniec dnia jestem taki zmęczony, że zaraz po zapadnięciu zmroku zasypiam. Być może nigdy nie widziałem głębokiej nocy, chyba że będąc dzieckiem, mając gorączkę albo inną chorobę. Może wtedy widziałem noc, słyszałem ją. Życie jednak kojarzy mi się z warkotem dnia. Była noc poślubna, ale nie pamiętam jej. Byłem wykończony przez gości. Nikomu nic nie mów. Nigdy. Najlepiej się nie odzywaj. Będą cię bić, może nawet cię zabiją. Jak? Na przykład nożem albo poszczują psami. A psy mogą w ogóle zabić? Mogą przegryźć gardło, odgryźć nogę, wydłubać oczy, wiesz,

**Marcin Włodarski** - ur. w 1976 r. Autor dwóch tomów poetyckich: „Sommy” (2002) i „Po własnych śladach” (2005). Publikował m.in. w „Borussii”, „Portrecie”, „Pracowni”, „Megalopolis”, „Pograniczach”. Redaktor działu poezji w „Portrecie”. Mieszka w Suszu w woj. warmińsko-mazurskim.

same okropności. Zaśnij. Obudziłem się po godzinie. Popiłem zimnej kawy. Dziś wróci żona z dzieckiem. Najpierw muszę iść w jedno miejsce, załatwić sprawę i będzie dobrze. Dni wolne od pracy są zbawieniem. Można siedzieć w domu, nikomu się nie pokazywać, jak za dawnych dobrych czasów podczas wakacji albo ferii zimowych. Czasem tylko pójść w jakieś miejsce jeśli już naprawdę trzeba. Za kilka godzin znów zobaczę żonę i dziecko. Tęskniłem za nimi, ale nie do przesady, tak jak niektórzy, że wydzwanają, piszą listy, chcą wszystko wiedzieć, każdy krok, wiedzieć, co było na obiad, gdzie odbyło się to czy tamto. Umyłeś zęby, jak tak to kładź się spać, zaraz do ciebie przyjdę. Zbadam czy jesteś zdrowy. Jestem lekarzem, to mój obowiązek, muszę cię zbadać. Załóż sobie kapcie, bo będziesz miał zimne nogi. Ja nie dzwonię, nie piszę listów. Zostawiam sobie margines interpretacji, daję szansę sobie i bliskim. Nie lubię prześladowania. Powiem żonie, że oglądałem filmy wideo. Nie mogę powiedzieć nic innego, nie mogę powiedzieć prawdy, że cały czas leżałem, patrzyłem w sufit, wspominałem szkołę średnią, swoją miłość młodzieńczą. Gdzie ta miłość teraz jest? W pamięci, czy w tak zwanym sercu? Żona opowie mi cały swój pobyt z dzieckiem. Jest taka żywa, szczęśliwa, pełna życia. Bardzo mi pomaga ten jej śmiech, szybki krok,

ale nie za szybki, kiedy nie mogę zdążyć za nią. To jest krok żywy, żyjący, pulsujący, wibrujący, kręcący się jak atomy. Moja żona jest śliczna. Nie wydaje mi się jednak żebym miał do czynienia z bóstwem, nigdy nie zwariowałem na jej punkcie. Po prostu ją kocham, tęsknię za nią i chcę ją całować. Ale podczas jej nieobecności nie marzę by wróciła. Właściwie nie marzę o tym wcale. Być może mam jej nawet dosyć. Musisz mówić o naszych problemach? Tylko plotki powstają. Nikomu tym nie pomożesz, że powiesz, co cię trapi, że coś cię boli. Tak naprawdę to nic cię nie boli. A nawet jeśli, to nie na tyle mocno, by o tym mówić komukolwiek. Dziś posprzątam ten pokój. Żona zwariowałaby na widok takiego bałaganu. Musiałbym się tłumaczyć, wymyślać obłądne historie. A nie potrafię wymyślać na miejscu, szokować, bredzić trzy po trzy, ale jednak z jakimś sensem, przynajmniej pozornym. Nigdy nie rozumiała, że człowiekowi może nie chcieć się posprzątać. Do picowania mebli, naczyń, dywanów angażowała mnie, zawsze. Wiem, że już dziś będę biegał jak kretyn ze szmatką albo z odkurzaczem. Może też dojść do wniosku, że dziś jej kolej. Ja, szczerze mówiąc, nie pamiętam czyja kolej dziś zmywać, odkurzać i tak dalej.

Muszę pójść w jedno miejsce i nic innego mnie nie interesuje dopóki nie wróci żona. Poczułem wstręt na samą myśl o opuszczeniu tego pokoju. Docenisz porządek jak będziesz miał swój dom. Najbardziej w swoim domu nie lubię obrazu, który namalował znajomy mojej żony. Nie wiem, czy kochała się w nim, ale żenujące są jej opowiadania o tym człowieku, który z pewnością był jakimś pozerem, bo obraz jest paskudny, chociaż wszyscy są nim zachwyceni. Podejrzewam, że człowiek ten wmówił wszystkim, że jest artystą. Moja żona jest zapatrzona w tego udawanego dandysa. Często mówi, że był nieszczęśliwie zakochany, że tylko artysta może tak kochać, że ta jego ukochana wybrała innego, ale on nadal ją kocha. Sądząc po obrazie to jakiś pedał. Wmówił wszystkim, że to sztuka współczesna a w gruncie rzeczy to jakieś penisy w stylu Picassa i Hitchcocka w jednej osobie. Ożywiłem się trochę, wiem. Zapewne na krótko, ale takie życiowe historyjki nigdy nie ożywiały mnie na długo. Nie lubię też w swoim domu świecznika, który moja żona wygrała w dzieciństwie w jakimś poronionym konkursie recytatorskim. Jeśli nie byliście nigdy na konkursie recytatorskim, a do tego chcielibyście sobie porzygać, to polecam. Ten świecznik jest jak taki konkurs. Nie będę go opisywał, proszę sobie wyobrazić cokolwiek, co wydaje się wam ohydne, a do tego nudne. W moim domu wszędzie są tapety, tylko nie w tym pokoju, w którym teraz siedzę. Jedyna oaza, chociaż białe ściany też są trudne do zniesienia. Zawsze to jednak nie tapeta. Te kojarzą mi się z moją ciotką. Jesteś jeszcze dzieckiem, ale dobrze wiesz, że twój ojciec jest chory. Nie trzęś się tak, ja wszystko wiem, ale nikomu nie powiem. Poczekam aż sam to zrobisz. Jedząc sernik zawsze się pobrudziła, szklanki w jej domu były tłuste, bo myła je w zimnej wodzie, podobnie traktowała talerze. Nie sposób było smacznie zjeść w jej domu. Może dlatego, że nie miała męża? Też będziesz mężczyzną, przekonasz się jaką jesteś świnią. Wiedziałem, że ojciec może jej zrobić krzywdę, nic zatem nie mówiłem nie chcąc mieć jej na sumieniu.

Wszedłem wreszcie do łazienki, usiadłem na sedesie i schowałem głowę między kolanami, zamykając oczy, żeby niczego już więcej tutaj nie widzieć. Wchodząc tu nie chciałem niczemu się przyglądać, tak żeby wyjść stąd bez skazy, zupełnie czystym. A jednak coś zauważyłem a może tylko mi się wydawało. Przez chwilę byłem przekonany, że dojrzałem pęknięcia na lustrze. Wolałbym wiedzieć czy pęknięcie istnieje, przynajmniej w takim sensie, że będzie zauważalne dla mojej żony. Gdyby tak istniało musiałbym wymyślić jakąś historię. Nie przypominam sobie aby lustro pękło w mojej obecności,

a żona nigdy nie uwierzy, że lustro pękło samo z siebie. Wypróżniłem się. Trudno, trzeba pobrudzić się, poplamić dla poznania prawdy. Czymkolwiek by ona nie była. Otworzyłem oczy. Nic mnie nie zaskoczyło ani widok, ani to, że w końcu patrzę. Spojrzałem na lustro. Istotnie, pękło. Gruba kreska przecinała je na ukos. Bałem się, ale nie umiem określić czego. Jakby zaraz po zobaczeniu jej powstała we mnie, w środku mojego organizmu. Może w mózgu. Taka kreska przecina całe miasto, każdego psa, moją żonę i córkę oraz każde miejsce, o którym pomyślę, wszystko. Niebo na pewno też. Podniosłem oczy do góry jakbym łudził się, że przez sufit ujrzę poranne niebo, pewnie chmury i słońce. Widziałem jednak tylko sufit a na nim, tak, gruba kreska. Jakby miał się zaraz otworzyć i pokazać niebo. A może piekło? Kto wie czy nie jest odwrotnie? Mi też wydaje się, że jestem chłopcem. Skąd jednak mam wziąć pewność? A ty ją masz? No, już cicho, spokojnie. Jutro pojedziesz na wycieczkę, wyśpij się. Płytki ceramiczne nie były pęknięte, ale każda ze ścian w łazience była przecięta kreską, pęknięciem.

Wyszedłem z łazienki by sprawdzić czy sprawy podobnie się mają w pokojach. W każdym pokoju na suficie były pęknięcia. Grube, cienkie, krótsze, dłuższe, ale wszystkie one łączyły się w końcu w jedno pęknięcie przecinające cały sufit. Ściany były nieskazitelne, oklejone tapetą sprawiały wrażenie nowych. Tylko w pokoju, w którym miałem swoją pracownię zarówno sufit jak i ściany były poronione. Czułem, że się rozpadam. Wyjść stąd, wyjść jak najszybciej, zostawić to miejsce i już nigdy tu nie wracać. Nie mogłem zdecydować, które założyć buty. Czułem, że moja bezradność osiąga groteskowe rozmiary. Jeśli teraz nie wyjdę to nie wyjdę stąd nigdy. Wydało mi się, że to wyjście, akurat teraz, o tej porze, dziś może mieć zbawienne dla mnie konsekwencje. Włożyłem czarne buty, te które kupiłem z żoną podczas naszych pierwszych wspólnych wakacji. Były to jednak stare buty, buty,

z którymi wiązały się wspomnienia. Pomyślałem, że nigdy nie będę w nich sobą, że zawsze będą mi przypominały inne dni, przez co te nowe dni nie będą takie, jakie być powinny. Nie miałem jednak butów zupełnie nowych, nie miałem nic, co byłoby zupełnie nowe. Nigdy się nie uwolnię od tego, co było.

Stałem w przedpokoju zupełnie oniemiały, nie myślałem o niczym, bo nie wiedziałem jak mam myśleć, co mam myśleć. Zostałem postawiony w sytuacji bez wyjścia. Żeby przeżyć musiałem opuścić dom, opuścić go bez wspomnień, bez szans na to, że mogą się one pojawić. Niestety nie dysponowałem środkami niezbędnymi do takiego załatwienia sprawy. Pozostaje wyjść nago, ale to pomysł, który skazałby mnie na szpital psychiatryczny, albo więzienie.

Wyjrzałem przez okno. Świeciło wiosenne słońce, wszystko budziło się do życia, dzieci biegały radośnie, bawiły się. Z daleka jednak nadchodziły ciemne chmury zapowiadające okropną pogodę. Już widziałem, jak zrywa się wiatr, matki wołają dzieci, te nie chcą iść do domu i biegają dalej nie czując podmuchów, które są coraz częstsze. Już widziałem te ręce w pośpiechu zdejmujące pranie, psy szukające schronienia, czujące niebezpieczeństwo burzy. A potem deszcz, grube kreski na niebie przynoszące ogień, czasami śmierć. Jeśli teraz nie wyjdę, nie zdążę dojść przed burzą. Nigdy nie możesz z niczym zdążyć.

Pewnego razu jechałem pociągiem, w nocy, to była długa podróż. Naprzeciw mnie spał mężczyzna. Wyglądał inteligentnie, ale nie taki przystojny, elegancki, taki co zawsze ma coś do załatwienia. Ten był naprawdę mądry i czuło się to z daleka. Nawet kiedy spał. Po pewnym czasie zaczął się dziwnie poruszać, jakby coś mu się śniło. Nikt tego nie zauważył, każdy był zajęty sobą, żeby nie okradli, żeby mieć to swoje miejsce, żeby ktoś nie położył na mnie swojego łokcia. A facet śpiący naprzeciw nagle otworzył oczy i wbił je we mnie. Był zdziwiony i przerażony. Od razu jednak wiedziałem, że nie chodziło o mnie. Po chwili zaczął krzyczeć żebym uciekał. Zwracał się do mnie, ale to miał być sygnał dla wszystkich. Ludzie zaczęli uciekać, dzieciak zesrał się nawet ze strachu, oburzenie mieszało się z paniką. Taki skandal, jakiś facet śpi a potem budzi się i krzyczy. Mnie zatkało, a on wydzierał się pytając dlaczego nie uciekam. A ja po raz pierwszy w życiu poczułem, że zaraz coś się stanie dobrego dla mnie. Nie czułem już strachu, byłem otwarty na propozycje, po raz pierwszy w życiu. Można mnie było wynająć. Czuję się jak ktoś, kto robi świetne rzeczy za pieniądze i nie ważne już jakie. Siedziałem sobie jak rewolwerowiec, płatny morderca, prostytutka, gość handlujący nieruchomościami. W końcu ktoś porwał mnie za rękę i wyskoczyłem z przedziału. Nie wiedziałem kto to zrobił, ale byłem pewien, że ktoś mnie szarpnął. Ludzie patrzyli na mnie spłoszeni. Z daleka słyszałem głos konduktora, który zbliżał się do przedziału. W tym momencie usłyszałem huk i wszyscy się przewróciliśmy. Wagon się przechylił i przybrałem kilkakrotnie dziwną formę. Głupio się wyrażam, ale nie wiem jak to opisać. Poczulem lekki ból w głowie, w żebrach. I strach. Wiedziałem, że dalej nie pojedziemy i to nie byłoby najgorsze. Wyobraziłem sobie jednak tych wszystkich ludzi, którzy nagle w panice uciekają, deptają moją głowę, nogi, brzuch, krocze. Wyobraziłem sobie, że wagony zaczynają się palić, jak to bywa w filmach. Bzdura. Nic takiego się nie dzieje. Nastąpiła cisza. Dopiero po dłuższej chwili dało się słyszeć jakieś szepty, stękania, odgłosy otwieranych plecaków. Po kilku minutach ludzie już badali swoje kieszenie, czy czasem ktoś nie wykorzystał okazji żeby ich okraść. Matki przytulały dzieci, ojcowie próbowali ogarnąć całość, dzieci pytały, co to było. Obcy tłumaczyli przyciszonym głosem. Po pojawieniu się pracowników kolei wszystko

wróciło do równowagi. Niektórzy tylko zaczęli wspominać podobne sytuacje, które przeżyli. Najczęściej tamte były straszniejsze, a to, to jeszcze nic takiego. Myślałem, że zacznę rzygać. Miałem ich dosyć. Okazało się, że była tylko jedna ofiara śmiertelna. Był nią oczywiście ten facet, co spał, a potem krzyczał żeby uciekać. Dlaczego sam nie uciekł? Ciekawe. No i skąd wiedział, że coś się stanie? Miał facet swoje tajemnice, nie można powiedzieć.

Wyjdę teraz i nikomu nie patrząc w oczy, dojdę do celu. Zresztą to wcale nie takie trudne jeśli pomyśleć ile mi krzywdy wyrządzili. Dlaczego miałbym milczeć na ich temat, no, czy oni zachowaliby się inaczej? Tyle że teraz kolej na mnie, teraz dla mnie okazja. Może właśnie to jest moralne? Żeby powiedzieć o nich wszystko, zadenuncjować, jak mówiono kiedyś.

Schodzę po schodach, mijam tę panią, która kiedyś oskarżyła mnie o to, że brudy ze swojej wycieraczki przesypuję na jej wycieraczkę, która nie pilnuje swojego syna, nie może dać sobie rady z mężem, nie odzywa się do mnie nawet jeśli głośno ją pozdrawiam.

Wychodzę na ulicę i idę do tego ćwoka, któremu mam wszystko powiedzieć, który wszystko to opisze, który nie będzie podziwiał mojej odwagi, poświęcenia, zdecydowania, tylko śmiał się będzie, że znalazł frajera, na którym nieźle zarobi, a którego potem wszyscy zjedzą, może wychłopcą krew i powieszą gdzieś na drzewie. Ale to nic. Niech sobie mówią i robią co chcą. Od dziecka byłem posłuszny, uczyłem się czytanek, chodziłem na kontrole kręgosłupa, wszystko na nic, bo i tak mam skrzywiony, na co ci lekarze patrzyli? Brałem udział we fluoryzacji, przystąpiłem do pierwszej komunii, zdałem do trzeciej klasy, potem do czwartej i już nie miałem środowiska z ulubioną panią tylko biologię. Dołożyli mi jeszcze geografę, historię i Bóg wie, co jeszcze. Chodziłem do kina, a żeby chodzić do kina musiałem być grzeczny. Wagary albo kino, dać szkołę temu gnojowi, co brata się czepiał albo kino. Zawsze prosto ze szkoły do domu,

pozmywać i obrać kartofle na obiad. Tak, tak, takie wychowanie obywatelskie było. A we mnie energia się kotłowała, że albo komuś dokuczyć albo onania. Zacząłem uprawiać sport, z sukcesami. Kino i sport albo spóźnić się do domu, żeby wieczorem do okna Moniki zajrzeć, na jej dupę popatrzeć. Coś za coś. Takie było wychowanie obywatelskie. Starłem się nikogo nie zawieść, być odpowiedzialnym i skupionym na swojej przyszłości. Zdałem egzamin do liceum, ponieważ stwierdzono, że powinienem pójść na studia. Wiedziałem, że znów przez kilka lat będę miał z głowy kino, hulanki i swawole, że nie będę żył jak homo sapiens tylko jak homo mechanik, maszyna. Na szczęście dano mi do szkoły z internatem. Bardzo mi się spodobało. Do dziś pamiętam tych ludzi, którzy stawiali mi irokeza, pomagali kroić pasy i szlugi. Wałęsa obiecywał sto milionów, na ulicach pojawiały się niemieckie samochody, stare jeszcze, ale już było widać, że nie jesteśmy tylko ze wschodu. Wyrzucili mnie z internatu. Umieszczono mnie w innym liceum i w innym internacie. Wiem, tu przesadzałem, nie zawsze się uczyłem. Swojego angielskiego wstydiłem się do tego stopnia, że udawałem pajaca, żeby wszyscy pomyśleli, że ja tylko się wygłupiam, że ten debilizm to tylko cyrk. Rosyjski mylił mi się z angielskim jeśli to w ogóle możliwe. Ale starałem się. Byłem zdolny, co szybko w sobie zauważyłem i doceniłem, no i starałem się. Nie rzuciłem szkoły, żeby pójść do pracy, jak inni, prawko zrobili i do dziś na ciężarówkach kokosy zbijają. Nie wyjechałem do Holandii ani nigdzie, tylko tutaj wydawałem pieniądze zarabiane na studia. Śmiał się ze mnie niejeden, że cieciem jestem, żeby na jakieś tam studia zarobić, że węgiel wrzucam, bo mniej wiem po maturze od kogoś, kto już nie pamięta, kiedy zawodówkę skończył. No tak, ale ja uśmiechałem się tylko jak Korki i odrabiałem pańszczyznę dalej. W końcu skończyłem te studia i w nagrodę posiedziałem sobie dwa lata w domu, żeby odpocząć, chyba, po trudach i znojach nauki. Nawet dobrze nie pobawiłem się z panienkami. Dawniej człek chuja miał jak wieża i wypuszczał się na grubego zwierza. Dziś studencik chuja ma jak pręcik, zmiętolony, spierdolony jest ten instrumencik. W końcu ktoś się zlitował i przyjął mnie do pracy. Byłem lojalny. Cieszyłem się, że mam kolegów i koleżanki w pracy. Brałem udział w zabawach andrzejkowych, ubierałem się przyzwoicie, przestałem pić, odrzuciłem brutalnie dawnych znajomych, skurwiłem się, udawałem kogoś kim nie jestem, lawirowałem, kręciłem się tu i tam, w sobie i poza sobą, przyciskałem głowę do ściany aż do bólu w piętach, ale nie dopuściłem, żeby się to z mojej winy skończyło. Doprowadziłem do kilku udanych przedsięwzięć, firma stanęła na nogi między innymi dzięki mnie. Tylko niedziele miałem wolne. I nie zarabiałem 10 tysięcy, 5 tysięcy, 3 tysięcy, 2 tysięcy. W mały zakład wkładałem dużo sił. Przestałem malować, zacząłem spotykać się z durniami myślącymi tylko o pieniądzach. Durnie bez szkoły, którzy zdecydowali, że prowincja będzie dla nich świetnym polem do zrobienia kariery. Wnuki, córki, siostrzeńcy sekretarzy dawnej partii, do dziś cieszący się uznaniem wśród starszego pokolenia, jak ten strach ugrzązł głęboko. Organizują sobie spotkanka za moimi plecami, nie chcą mnie, nie widzą mnie obok siebie, bo za dobrze znają moją rodzinę, nie pasuje im coś. Nie wiedzą jednak, że wszystkiego jestem świadomy, że mam już w dupie te ich kilka setek, wisi mi co się z nimi stanie, co stanie się ze mną. Powiem też o księdzu, jak bardzo się lubią, jakie mają wspólne interesy, powiem o ich córkach, co robią, żeby nie czytać już, jak to ich dziewczyny ciężko pracują podczas wakacji. Powiem jak pracują. Kto mi tam jeszcze nie odpowiada, ach, młodzi, co utwierdzeni w przekonaniu, że teraz można wszystko, opierdalają się dokumentnie i wyręczają moim poczuciem odpowiedzialności wyniesionym jeszcze z domu i z podstawówki. Coś za coś. Ich reguła to: coś za nic. Teraz i im się skończy. I nawet żona mi nie zabroni. Bo i ona

myśli, że zrobię wszystko, co mi powie. Bo mam poczucie odpowiedzialności, bo mi zależy, bo nie chcę stracić tego, co osiągnąłem. Tylko że ja niczego nie osiągnąłem. A na pewno nie więcej od tych, którzy nigdy nie dali dupy. Dlatego jestem już spokojny. Dzień nie wydaje się już mdły i bez nadziei. Coś zadrzało, coś się oberwało, coś cieknie. Od długiego już czasu nie miałem uczucia, że człowiek może coś zrobić, coś zmienić. Nagle nawet wyjazd stąd, nawet rozwód, czy inna kłapa, nie wydają mi się katastrofą. Dlatego stoję tu pod drzwiami tego faceta i wiem, że za chwilę on włączy dyktafon a ja powiem wszystko. Okażę się świnią dla wielu ludzi, ale bardzo lekką świnią. Świnią z możliwościami.